

ROZMOWA
POLITYKI

- 12 Rozmowa z **prof. Januszem Czapińskim** o stanie polskiego społeczeństwa

POLITYKA

- 16 Janina Paradowska
PO – zjazd czy odjazd?
18 Grzegorz Rzeczkowski
Partie kasy, kasa partii

KRAJ

- 20 Adam Szostkiewicz
Kościół sięga po szamanów
24 Joanna Podgórska
Czy da się wyleczyć geja?
28 Edwin Bendyk
Edukacja – tyrania dobrych intencji
30 Barbara Pietkiewicz
Zabójcza odwaga małżonków
32 Agnieszka Sowa
Policjant nadmiernie opiekuńczy

RYNEK

- 34 Cezary Kowanda
10 wątpliwych megainwestycji unijnych
38 Adam Grzeszak
Scyfrowani – wygodny i pułapki e-konsumpcji
40 Urszula Szyperska
Przymusowe wspólnoty mieszkaniowe?

ŚWIAT

- 46 Artur Domosławski
BRAZYLIA Bunt niegłodnych obywateli
49 Jagienka Wilczak
CHORWACJA 28 kraj w Europie
52 Filip Gańczak
Polacy i Rosjanie w niemieckich oczach

HISTORIA

- 56 Łukasz Wójcik
Krwawa łaźnia pod Gettysburgiem, czyli narodziny Stanów Zjednoczonych
60 Paweł Sulc
Hermaszewski w kosmosie zamiast mięsa w sklepach



- 24 **Mikołaj Milcke:**
jak mnie leczono z homoseksualizmu



- 34 **Mania wielkości, czyli unijne piramidy**



- 46 **Brazylia – ciemna strona sukcesu**



- 108 **Tour de France**
– więcej niż wyścig kolarski

NAUKA

- 64 Rozmowa z **prof. Stanisławem Karpińskim** o genetycznym udoskonalaniu drzew
68 Piotr Majewski
Tajemnicze srebrne chmury na niebie
70 Paweł Walewski
Rehabilitacja ważna jak operacja

KULTURA

- 78 Piotr Sarzyński
Jan Matejko – kochany i odrzucany
82 Aneta Kyzioł
Teatr – wszyscy koprodukcją
85 KAWIARNIA LITERACKA
Michał Witkowski
86 Rozmowa z **laureatami Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI**
88 Bartek Chaciński
Tropicália – rytmy Ameryki Południowej znowu uwodzą
91 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 92 Tomasz Maćkowiak
Czeska erotyka i polityka
95 Anna Dąbrowska
Luksus na polską miarę
98 Marcin Kołodziejczyk
Harleyowcy z wizytą w Watykanie

ZA STOŁEM

- 101 Piotr Adamczewski
Obrzydliwe przysmaki

NA WŁASNE
OCZY

- 108 Marcin Piątek
fotografie Piotr Małecki
Sto razy dokoła Francji

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 102 Passent
- 104 Hartman • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji, Fusy
- 114 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



W sieci dobra

Mówi się, że katolicyzm ma słaby piar i dlatego jest dziś w Polsce produktem o malejącym zasięgu i do wielu osób nie dociera lub jest przez nie źle odbierany.

Dodatkowym problemem są zakłócenia na łączach, w wyniku czego niektórzy katolicy zamiast katolickiego głosu, w swoim domu słyszą np. głos księdza Lemańskiego albo księdza Bonieckiego, którzy najlepiej, żeby w ogóle nic nie mówili.

Nadzieję na wizerunkowe wzmocnienie katolicyzmu dało niedawno PiS. Podczas Ogólnopolskiego Kongresu Katolików na Jasnej Górze politycy tej partii powołali Instytut ds. Przeciwdziałania Ateizacji, mający bronić dobrego imienia katolicyzmu i katolików oraz zapewnić im sprawną obsługę prawną i piarowską. Sprawa jest pilna, bo jak ogłosił poseł Jaworski z Parlamentarnego Zespołu ds. Przeciwdziałania

Ateizacji Polski, katolicy są w Polsce dyskryminowani i wyśmiewani, a jedynymi miejscami, w których mogą się schronić przed jadowitą kpina, są kościoły i niewielkie sale katechetyczne. Trudna jest również sytuacja księży katolickich, których oskarża się o pedofilię, konsumpcyjny styl życia i popieranie PiS, w związku z czym premier już dawno temu zapowiedział, że nie będzie się im kłaniał.

Instytut ma poprawić wizerunek polskiego katolicyzmu i pokazać jego największe osiągnięcia, takie jak bazylika w Licheniu, 33-metrowy Jezus Chrystus w Świebodzynie czy o. Tadeusz Rydzyk, który wielkością na razie Chrystusowi ustępuje, ale i tak widać go w kraju i na świecie. Zdaniem uczestników Kongresu trudno sobie dziś wyobrazić Polskę bez o. Rydzyka, mimo że powstał on mimo zmasowanych ataków środowisk liberalno-lewicowych oraz niektórych hierarchów. Z tego powodu nie jest jeszcze osiągnięciem w pełni nowoczesnym, przystoso-

wanym do naszych czasów i na razie nie został podłączony do systemu naziemnej telewizji cyfrowej, ale episkopat zapewnia, że prace nad jego cyfryzacją i włączeniem do systemu będą prowadzone.

Czy samo powołanie Instytutu wystarczy, by obronić społeczeństwo przed ateizmem? Nie wiadomo. Dlatego redaktor Karnowski z tygodnika „Sieci” zapelował, by dodatkowo Polacy przestali czytać mainstreamową prasę, lansującą ateizm, i kupowali tylko „dobre media”, nawet po dwa egzemplarze. Pomysł jest sensowny, bo w ten sposób każdy Polak mógłby za umiarkowaną cenę co tydzień zwiększać ilość dobra w swoim domu, umożliwiając przy okazji przeżycie produkującemu to dobro redaktorowi Karnowskiemu. Niestety, na Kongresie nie ustalono, czy wytworzone przez Karnowskiego dobro odbiorcy mają tylko skupować, czy muszą je także czytać, a jeśli tak, to w ilu egzemplarzach.

KUBICUJ RAZEM Z NAMI!

Wiemy, że droga do spełnienia marzeń bywa kręta, ale ważne, by ciągle dążyć do celu. Wspieramy Roberta w jego pasji i czekamy na kolejne wielkie emocje.

Grupa LOTOS,
Oficjalny Partner
Roberta Kubicy



Gratulujemy sukcesu
w Rajdzie Sardynii

 **LOTOS**
Otwarcia na przyszłość



Siedmiu na jednego

Władimir Putin pojechał na szczyt państw G8 osamotniony, ale pewny swego. Wyjeżdżał ze spotkania naburmuszony, ale zwycięski. Zjazd liderów ośmiu największych gospodarek świata nad jeziorem Erne w Irlandii Północnej (17–18 czerwca) miał dotyczyć głównie Syrii. W komunikacie końcowym o syryjskiej wojnie wspomniano jedynie szczątkowo, bo nie było się czym chwalić. Na pierwsze miejsce wysunęła się buchalteria: premier David Cameron ogłosił początek rozmów o układzie o wolnym handlu między Unią Europejską a USA, padło kilka deklaracji o ściganiu podatkowych uciekinierów i wymuszaniu większej przejrzystości właścicielskiej w międzynarodowych korporacjach. Tu wszyscy miło się zgadzali.

Wnajważniejszej sprawie Putin postawił jednak na swoim: zabrakło wspólnej deklaracji, że pokój w Syrii jest możliwy tylko bez Baszara Asada, i nikt nie potępił Rosji za sprzedaż broni do Damaszku. Przy okazji Rosjanin dziwił się przed kamerami, jak Zachód może zbroić ludzi, którzy zabijają i zjadają swoich wrogów (w sieci krąży wideo, na którym jeden z powstańców nadgryza płuco zabitego żołnierza Asada). Putin przyznał również, że nie widzi sensu organizowania w lipcu wielkiej pokojowej konferencji w Genewie w sprawie Syrii bez udziału Asada – obecność dyktatora to kolejny warunek nie do przyjęcia dla Zachodu. Jeśli **Barack Obama** miał nadzieję, że jego deklaracja o dostawach broni dla syryjskiej opozycji wystraszy duet Putin–Asad, to się mylił.

Golan bez nadzoru

Brakuje żołnierzy do pilnowania linii demarkacyjnej biegnącej 80 km przez Wzgórze Golan między Syrią i Izraelem. Sytuacja w rejonie, ze względu na syryjską wojnę, jest coraz bardziej niebezpieczna. Do domu wracają więc Austriacy, największy, liczący 380 żołnierzy kontyngent w ramach sił rozjemczych UNDOF (maksymalnie mogą liczyć 1250 ludzi). Po porwaniu kilku żołnierzy filipińskich przez syryjskich powstańców także Manila zapowiadała odwrót 341 Filipińczyków, zmieniła jednak zdanie, co oznacza, że niebawem obok Filipińczyków na Wzgórzach pozostanie tylko 191 wojskowych z Indii. Część braków kadrowych obiecało załatać Fidzi, które dośle 171 ludzi, być może Austriaków zastąpią Szwedzi.

Rozpad UNDOF pozbawi międzynarodowej kontroli jeden z bardziej zapalnych obszarów Bliskiego Wschodu. Bez wzmocnienia obsady Wzgórz mogą z łatwością przekształcić się w obszar starć armii syryjskiej, rebeliantów i wojsk izraelskich. Nieoczekiwanie podczas wizyty w Moskwie wiceszefowa izraelskiego MSW Fania Kirschenbaum oświadczyła, że „Izrael chętnie powita w siłach UNDOF również żołnierzy rosyjskich”. Rosjanie są chętni, jednak zgodnie z mandatem ONZ nie mogą brać udziału w misji, na dodatek popierają reżim Baszara Asada, więc nikt w rządzie w Jerozolimie nie potrafi (lub nie chce) powiedzieć, o co pani minister chodziło.

Smog singapurski

Naukowcy oceniają zanieczyszczenie powietrza w jednostkach PSI (Pollutant Standards Index). Do poziomu 50 jest zdrowo i bezpiecznie. Przy 100 jednostkach kobietom w ciąży i osobom starszym zaleca się nieopuszczanie domów. Kilka dni temu w **Singapurze** poziom PSI przekroczył 400 jednostek. 17 czerwca do miasta wdarła się chmura dymu, powstała przy nielegalnym wypalaniu lasów na pobliskiej Sumatrze. Utrzyma się prawdopodobnie do września, gdy rozpocznie się pora deszczowa. Czerwona kropka, jak nazywają swoją ojczyznę Singapurczycy, mocno poszarzała.

Wypalanie lasów na indonezyjskiej Sumatrze to coroczne zajęcie działających tam korporacji rolniczych. „Zdobyte” w ten sposób tereny obsadzone są później palmami, z których produkuje się najważniejszy tłuszcz roślinny świata – olej palmowy. To podstawa kuchni w całej Azji Południowo-Wschodniej. Zapotrzebowanie na ten olej szybko rośnie, bo dziś wykorzystuje się go również do produkcji kosmetyków, mydła i biopaliw. Indonezja produkuje go najwięcej, dlatego jej władze nie palą się do ścigania sprawców pożarów. Pochodzący z nich dym zagraża jednak nie tylko zdrowiu Singapurczyków, ale również bezpieczeństwu żeglugi na najważniejszej arterii morskiej. Przez pobliską Cieśninę Malakka przepływa cały handel



między Oceanem Indyjskim i Pacyfikiem. Tędy na wschód płynie ropa m.in. dla Chin, Japonii i Korei Pd. W drugą stronę żegluguje większość produktów chińskiego przemysłu i indonezyjska kawa. 16 lat temu dym z Sumatry spowodował tam zderzenie dwóch statków. Dlatego dziś, w obawie przed kolejną katastrofą, statki w cieśninie muszą zwalniać. W nocy ruch niemal zupełnie ustaje.



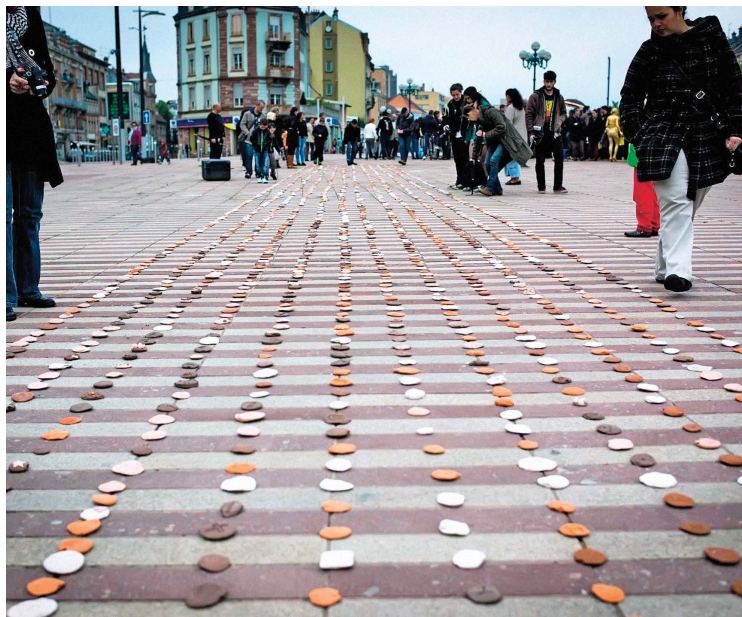
Szybko przybywa Egiptu

Okazało się, że nowy Egipt, po obaleniu Mubarak, odniósł jednak jakiś sukces. Z ogłoszonych właśnie danych demograficznych wynika, że w 2012 r. urodziło się 2,6 mln Egipcjan, czyli na każdy ich tysiąc przypadło 32 nowych narodzin. Co w czasach ostrego kryzysu nie jest dobrą wiadomością. A według tych samych statystyk obecny rok ma być rekordowy. Ze średnią przekraczającą trójkę dzieci przypadających na kobietę, Egipt znacznie wyprzedził sąsiadów z regionu: Tunezję (2,05), Algierię (2,3) czy Maroko (2,4). Od wczesnych lat 70. (kiedy na kobietę przypadało siedmioro dzieci) wdrażana była polityka planowania rodziny; nie miała chińskiego rygoryzmu, ale władze i stosowne służby w terenie lansowały model dwa plus dwa. W 2009 r. powstało nawet nowe ministerstwo rodziny i populacji, ale później, w ogniu rewolucji, kwestie te zeszły na dalszy plan. Prezydent Morsi i jego ekipa w ogóle o tym nie wspominają, a wspierające ich Bractwo Muzułmańskie ma do kontroli urodzin stosunek ambiwalentny. W zasadzie są za planowaniem rodziny, ale nie na tyle oficjalnie, aby podpaść rodzimym salafitom, którzy gorąco opowiadają się przeciwko. Za rok Egipt znowu pewnie pójdzie po rekord.

Sztuka puszczania kaczek

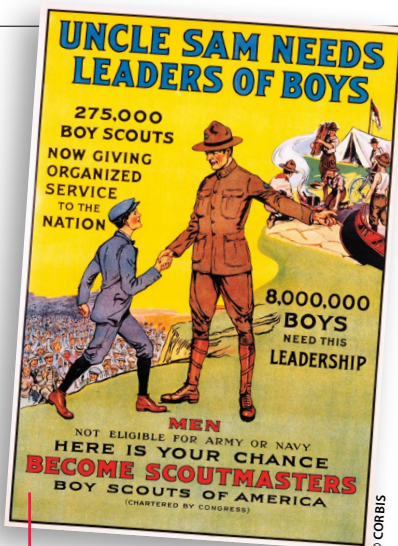
WBelfort, na rzece Savoureuse we Francji, odbyły się pierwsze mistrzostwa świata w puszczaniu kaczek na wodzie. Startować mógł każdy, pod warunkiem że w eliminacjach pochwalił się przynajmniej sześcioma odbiciami o powierzchnię wody. Agencje informacyjne nie podają nazwisk medalistów, bo organizator Cyril Jarton, pisarz i artysta plastyk, objaśnił, że chodzi bardziej o sztukę niż sport. W miejscowym ośrodku kultury przez tydzień wypalono z gliny prawie trzy tysiące płaskich kamyków;

stosownie do inwencji autorów, na części z nich wypisano i wyrysowano hasła i życzenia, a nawet – jak podkreślił Jarton – „przekaz dla przyszłych pokoleń albo dla ryb”. Z obiektów tych, nieużytych w czasie mistrzostw powstała wystawa nad brzegiem rzeki, której nie trzeba sprzątać, gdyż jest w pełni przyjazna środowisku. Zdaniem organizatora, takie mistrzostwa łączą dyscyplinę sportową, refleksję filozoficzną i praktykę artystyczną, konkretnie – rzeźbę dzieł efemerycznych.



Druh gej

Harcerstwo męskie w USA (Boy Scouts of America, BSA) dopuściło druhów gejów. Nie mogą jednak pełnić funkcji przywódczych, a także prowadzić w organizacji życia seksualnego w jakiegokolwiek formie, tak samo jak niegeje. Decyzja była mocno kontestowana przez największe amerykańskie organizacje religijne, np. przez Konwencję Baptystów Południa (SBC). Jednak niektórzy baptyści gotowi są tolerować podobne zmiany, bo nie są aż tak istotne, a spór o nie wywołuje w Kościele wewnętrzne zbędne podziały. Tak było z bojkotowaniem koncernu Disneya (z pochodzenia Żyda) czy upieraniem się przy dopisywaniu przy datach rocznych „przed Chrystusem” i „Roku Pańskiego”. Z kolei Edward Martin, szef Katolickiego Krajowego Komitetu do spraw Harcerstwa, oświadczył w liście do skautów katolików, że decyzja



„Wuj Sam potrzebuje drużynowych” – amerykański plakat z ok. 1917–18 r. zachęcający mężczyzn niezdolnych do służby wojskowej do pracy ze skautami.

władz BSA, choć dla wielu wiernych kontrowersyjna, nie jest sprzeczna z tym, czego naucza Kościół. Decyzji nie oprostował także Kościół mormoński ani Zjednoczony Kościół Metodystyczny.

To dobre wieści dla skautów, bo 70 proc. ich budżetu pochodzi z wpłat organizacji religijnych. Kościół rzymskokatolicki w USA jest trzecim co do wielkości sponsorem przeszło dwumilionowego ruchu skautowskiego. Przedstawiciele różnych konfesji zaznaczają jednak, że brak sprzeciwu nie oznacza doktrynalnej akceptacji homoseksualizmu. Amerykański skauting ma pozostać politycznie i społecznie neutralny, lecz zaangażowany religijnie w duchu ekumenicznym. Większa zmiana zaszła tymczasem w skautingu brytyjskim. Dziewczęta nie muszą już składać przyrzeczenia, że będą miłowały Boga (ani „służyć ojczyźnie”). Mają dochować wierności sobie i rozwijać swoje przekonania. Organizacje humanistyczno-laickie przyjęły zmianę z zadowoleniem.



Słomiane misie

PiS wygrało z Platformą w pierwszej turze wyborów na prezydenta Elbląga – o ponad 10 punktów procentowych. Wygrało też wybory do Rady Miasta.

Po zaskakującym odwołaniu ekipy rządzącej Elblągiem miasto zostało potraktowane jak poligon doświadczalny, gdzie trenowało się rozbijanie Platformy. Rozegrała się tam kampania wyborcza, jakiej „w terenie” chyba jeszcze nie widziano. – *Ktoś, kto przyjeżdża do nas z zewnątrz, może pomyśleć, że wybieramy prezydenta Polski albo parlamentarzystów. Kandydaci mówią głównie o tym, kogo ważnego znają, zamiast przedstawiać propozycje dla miasta* – mówi Maria Kasprzycka, dyrektorka Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu.

Ważnym czwartek 20 czerwca, dwa dni przed ciszą wyborczą. W Elbląskiej hali targowa z ust do ust przekazuje wieść, że oto Zbigniew Ziobro w jednym ze stoisk kupił sobie buty za 250 zł. I uściśnął dłoń sprzedawczyni. Hala jest nieufna – czy lider Solidarnej Polski zwykł chodzić w butach za 250 zł, czy może chciał się z hałą przedwyborczo zbratać? Ziobro śpieszy na konferencję. A po nim, przed magistratem agituje Janusz Palikot. W tle słomiany miś nawiązujący do filmu Barei. Do misia przyczepiono portrety działaczy PO, PiS i SLD, ostemplowane napisem „sitwa”, bo byli w odwołanej radzie i kandydują do nowej.

Po Palikocie – spektakl z prezesem Kaczyńskim w roli głównej. Na statku wycieczkowym „Pingwin” zacamowanym przy bulwarze na rzece Elbląg. Prezes z „Pingwina” obiecuje zebrany na brzegu przekopanie kanału przez Mierzeję Wiślaną, uczynienie z Elbląga czwartego portu w kraju. Dorzuca jeszcze referendum – czy miasto ma pozostać w województwie warmińsko-mazurskim, czy przyłączyć się do Gdańska.

– *Takiego sabatu czarownic, partyjnego cyrku tutaj jeszcze nie było* – konstatuje Kazimierz Falkiewicz, pełnomocnik komitetu referendalnego, były członek Ruchu Palikota. Kilka miesięcy temu Falkiewicz i jego dwaj koledzy z RP wyczuli klimat rosnącego niezadowolenia. Skrzyknęli grupkę kilkunastu osób spoza miejscowej elity i w połowie kwietnia br. doprowadzili do obalenia prezydenta Grzegorza Nowaczyka z PO i całej rady miasta. Opisywaliśmy okoliczności, które sprawiły, że co czwarty uprawniony wziął udział w głosowaniu (POLITYKA 17/18) i zagłosował za odwołaniem. Poszło o podwyżki czynszów w lokalach komunalnych i biletów na komunikację miejską, o arogancję, kumoterstwo, politykę kadrową, rozrzutność (pół miliona złotych na remont gabinetów, wydatki na promocję, limuzyny, wyjazdy zagraniczne do egzotycznych krajów), 150-metrowe mieszkanie komunalne dwudziestoparoletniej bratanicy wiceprezydenta odpowiedzialnego za zasoby komunalne. Wreszcie o rozkopane, nieprzejezdne miasto, którego władzom zabrakło pomysłu, jak roboty rozpiszać na etapy.

Referendum w Elblągu zbiegło się ze spadkiem poparcia dla PO w sondażach, a wybory stały się przygrzywką do bitwy warszawskiej (jak określa się próbę odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz), testem politycznego poparcia, sprawdzianem różnych metod

oddziaływania na wyborców. „Poligon”, „cyrk”, „targowisko”, „teatr” – najczęściej tymi słowami kwitują elblążanie to, czego stali się świadkami przed niedzielą wyborczą 23 czerwca. Okazało się, że ławki partii w terenie są krótkie. PiS długo nie mogło się zdecydować, kogo wystawić. Stańko na Jerzym Wilku, szefie lokalnych struktur PiS i wieloletnim radnym, znanym jako „wieczny pretendent”, bo kandydował już w 2006 i 2010 r. Jego problemem jest Elbląska Spółdzielnia Inwalidów Elsin, którą kieruje. Została postawiona w stan likwidacji. Wyciągnęli to konkurenci jako dowód na brak predyspozycji do zarządzania. Ale wyborcy się tym nie zrazili, Wilk dostał ponad 31 proc. głosów i wygrał pierwszą turę.

SLD też nikogo nie zaskoczył, desygnując Janusza Nowaka, szefa partii w Elblągu, byłego radnego. Obciążeniem dla kandydata są długie rządy SLD w mieście (do 2010 r.) i fakt, że przez pewien czas radni Sojuszu byli w koalicji z PO i popierali uchwały zgłaszane przez odwołanego prezydenta, włącznie z tą o podwyżce czynszów, która przyczyniła się do referendum. Wynik Nowaka, ok. 10 proc. głosów, był słabszy od przewidywań.

PSL ustami Janusza Piechocińskiego, dość nienachalnie, poparł Witolda Wróblewskiego, byłego wiceprezydenta Elbląga (z ekipy Henryka Stoniny, który z ramienia SLD rządził miastem przez trzy kadencje). Wróblewski z nadania PSL jest obecnie członkiem zarządu województwa warmińsko-mazurskiego, ale w wyborach startuje z własnego komitetu. Wróblewski zyskał przyzwyczajony trzeci wynik w wyborach, ponad 17 proc. i to jego wyborcy, bardziej niż kandydata SLD, zdecydują o wyniku II tury.

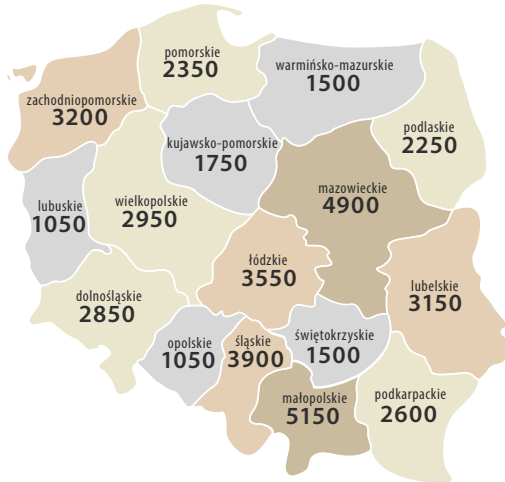
Niewdzięczna rola ratowniczką wizerunku PO przypadła posłance Elżbiecie Gelert, która po ustąpieniu prezydenta Nowaczyka tymczasowo objęła ster partii w mieście, a zaraz potem została kandydatką na prezydenta. Zaczęła od skierowanych do elblążan przeprosin za to, „że jako partia nie byliśmy zbyt wrażliwi na wasze problemy”. Gelert, z wykształcenia pielęgniarka, nie zrezygnowała z pracy zawodowej – od kilkunastu lat kieruje elbląskim szpitalem. Ludzie cenią ją, bo szpital dobrze sobie radzi. Postrzegają ją jako cichą (słabość) oponentkę (zaleta) partyjnego układu, który skompromitował się, zarządzając miastem. Ale jej wynik, nieco ponad 21 proc., Platformę chyba rozczarował, choć platformersi nie mogli się wiele spodziewać.

W mieście panuje przekonanie, że elbląska PO nie przeprowadziła wewnętrznego rozrachunku, bo na listach do rady znalazło się sporo osób z tej poprzedniej (na niezłych miejscach). W ostatni dzień kampanii w Elblągu do miasta niespodziewanie przybył premier Tusk. „Jadę do Elbląga, żeby odpracować ten grzech, jaki popełniła poprzednia ekipa” – powiedział PAP. Ale odpracować nie zdążył. Jeśli Platforma chce się odbić, to raczej nie w Elblągu, chyba że zdarzy się cud (wyborcy przegranych kandydatów przesuną głowę na panią Gelert), na co PO wciąż liczy.

RYSZARDA SOCHA

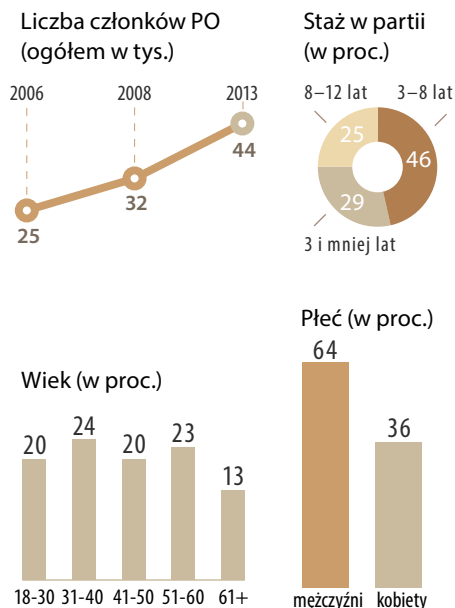
Kto wybierze szefa Platformy

Liczba członków PO w województwach w czerwcu 2013 r.



Konwencja Platformy Obywatelskiej 29 czerwca ma zmienić tryb wyboru szefa partii – prawo głosu dostaną wszyscy członkowie partii, którzy zostali przyjęci przed 22 kwietnia 2013 r. i nie zalegają za składkami. Kandydatem może być każdy, ale jak dotąd wiadomo tylko, że kandydować będzie premier Donald Tusk, inni politycy nie zdecydowali jeszcze o swoim udziale. Wybory rozpoczną się w lipcu i potrwać do początku września, głosować będzie można także listownie i przez Internet. Aby wygrać, trzeba zdobyć 50 proc. głosów plus jeden, przy czym frekwencja nie jest istotna. Jeśli nie wystarczy jedna tura, odbędzie się druga.

POLITYKA INSIGHT



© WŁODZIMIERZ WASYLUK/REPORTER

Co po warszawskim referendum?

Referendum w sprawie odwołania prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz wydaje się już przesądzone. Termin zbierania głosów upływa 22 lipca, ale prowadząca akcję Warszawska Wspólnota Samorządowa twierdzi, że zgromadziła już wymagane 10 proc. uprawnionych do głosowania, czyli ok. 135 tys. warszawiaków. Aby referendum było ważne, frekwencja musi przekroczyć określony próg – w tym wypadku jest on równy 3/5 biorących udział w wyborach na prezydenta miasta. W 2010 r. frekwencja w Warszawie wyniosła trochę ponad 48 proc., a więc ważność nadchodzącego referendum zapewni udział już ok. 29 proc. wszystkich uprawnionych do głosowania warszawiaków (tj. 390 tys. osób). Nie jest to wysoki pułap, biorąc pod uwagę, że w stolicy zazwyczaj głosuje więcej ludzi niż przeciętnie w kraju, a 63 proc. badanych warszawiaków zadeklarowało swój udział, z czego 64 proc. chce odwołania pani prezydent.

Trwa jednak spór co do skutków ewentualnego odwołania prezydent Warszawy. „Nawet gdyby – w co nie wierzę – referendum okazało się skuteczne, to wybory nowego prezydenta odbędą się i tak w terminie przyszłorocznych wyborów samorządowych” – zapewnia na swoim profilu facebookowym wojewoda mazowiecki Jacek Kozłowski. Z kolei Piotr Guział, lider Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej, w przypadku odwołania Gronkiewicz-Waltz liczy na przedterminowe wybory. Różnica wynika z przepisów, które przyjmujemy za właściwe dla warszawskiego referendum. W grę wchodzi dwie ustawy: o samorządzie gminnym oraz o referendum lokalnym.

Gdyby przyjął, że właściwa jest ta pierwsza, wówczas do przedterminowych wyborów by nie doszło. Jej przepisy przewidują bowiem dwa okresy ochronne: na sześć miesięcy przed zakończeniem kadencji, kiedy obowiązuje zakaz organizacji wyborów przedterminowych, oraz na rok przed jej zakończeniem, kiedy przedterminowych wyborów nie przeprowadza się, jeśli rada gminy tak zdecyduje.

Jeszcze 14 czerwca szefowa warszawskiej delegatury Krajowego Biura Wyborczego Anna Lubaczewska twierdziła, że stosuje się ustawę o referendum lokalnym, a przepisy o okresach ochronnych nie mają w tym przypadku zastosowania. Ale już 21 czerwca oficjalne stanowisko Państwowej Komisji Wyborczej przedstawił ekspert zespołu prawnego i organizacji wyborów Krajowego Biura Wyborczego Lech Gajzler: właściwe przepisy zawiera ustawa o samorządzie gminnym. Gdyby do przedterminowych wyborów miało dojść w okresie od roku do sześciu miesięcy przed zakończeniem kadencji, rada miasta będzie mogła podjąć uchwałę o ich nieprzeprowadzeniu.

Naszym zdaniem są poważne argumenty za tym, by stosować ustawę o referendum lokalnym. To ona reguluje referendum organizowane z inicjatywy mieszkańców, a ustawa o samorządzie dotyczy jedynie referendum organizowanego z inicjatywy rady gminy. Premier, choć nie wiąże go opinia PKW, zapewne podzieli jednak jej zdanie. Po ewentualnym odwołaniu pani prezydent nie rozpisze nowych wyborów, tylko powoła komisarza, który będzie rządził Warszawą do jesieni 2014 r. Warszawskiej Wspólnocie Samorządowej zostanie wówczas jedynie skarga do Sądu Administracyjnego.

POLITYKA INSIGHT

Zarabiać w ONZ



Poczet sekretarzy generalnych ONZ w nowojorskiej siedzibie

Nie tylko w Unii Europejskiej Polska jest niedoreprezentowana pod względem liczby urzędników. System biurokracji ONZ jest nie do zrozumienia dla ludzi spoza tej organizacji, ale w dużym uproszczeniu można powiedzieć, że Polska – jeśli wziąć pod uwagę jej liczbę ludności i składki, które płaci – powinna mieć 20–30 urzędników (nie licząc pracowników misji pokojowych itp.). Ma zaledwie 12.

– Konkurencja jest ogromna – wyjaśnia John Ericson, wysoki urzędnik ONZ, który był niedawno w Warszawie. – Co roku do kilkuset konkursów staje nawet pół miliona kandydatów. Do końcowego etapu danego konkursu przechodzi dziesiątka najlepszych. Każdy z nich spełnia wymagania, decydują takie kryteria jak płeć czy narodowość. ONZ musi dbać o równowagę – tłumaczy Ericson.

Do Polski przyjechał, bo 3 grudnia odbędzie się u nas egzamin na najniższy poziom urzędnika ONZ w ramach Programu dla Młodych Profesjonalistów. Co roku ONZ zdobywa tą drogą stu pracowników. W zeszłym roku zgłosiło się 40 tys. osób, wstępne sito przeszło 5,5 tys. I to one zmierzyły się z pisem-

nym egzaminem, który trwa 4,5 godz. Dla stu najlepszych zaczyna się wtedy okres wyczekiwania, bo nie dostają pracy automatycznie. Przez dwa lata muszą pozostać w gotowości – mogą się spodziewać przenosin do biur ONZ w Nowym Jorku, Genewie – albo np. Bejrucie. ONZ, zachwala Ericson, to świetny pracodawca – oferuje dobre zarobki (urzędnicy zarabiają nieco więcej niż ich koledzy na tym samym szczeblu w administracji USA), świadczenia socjalne, program emerytalny.

Tegoroczny grudniowy egzamin (w pięciu dziedzinach, m.in. administracja, finanse i prawo) mogą zdawać osoby do 32 roku życia, z dyplomem uniwersyteckim (minimum licencjat), płynnie mówiący po angielsku lub francusku. Zapisy – w zależności od dziedziny – potrwają do 1 sierpnia lub 5 września. Co ciekawe, egzamin na całym świecie, niezależnie od strefy czasowej odbędzie się w tym samym momencie, a jednym z wyzwań stojących przed machiną ONZ jest znalezienie terminu, który nie kolidowałby z żadnym świętem w żadnym z kilkudziesięciu państw, które są centrami egzaminacyjnymi. (wbs)

Jan Koza



Cisi gęgacze

komentarz



Adam Krzemiński

Nasi prawicowi „niepokorni” publicyści (parafrazując słynną szopkę Szpotkańskiego) cisi gęgacze. Pomstują na zdrajców i sprzedawczyków, podkreślają się nawzajem, ale wyłącznie TU. Jakoś żaden z nich nie włączył się w niemiecką dyskusję wokół „Naszyc matek, naszych ojców”. Oburzali się tu, ale nie tam, jęcząc tylko, jak to znów – cytując Jana Rokitę – „Niemcy nas biją”. Teraz Piotr Zaremba oburza się na mnie, że w dyskusji w TVP po emisji „Naszyc matek” bagatelizowałem niemiecki plan fałszowania polskiej historii. Ale jakoś nie miałem wsparcia Zaremby, gdy tłumaczyłem Niemcom na łamach „Süddeutsche Zeitung”, przed kamerą ZDF oraz na portalu www.perlentaucher.de, w jak fatalnej tradycji antypolskich stereotypów lokuje się polski epizod filmu ZDF.

Decyzja kierownictwa TVP o pokazaniu polskiej publiczności niemieckiego serialu była słuszną i odważną. Film miał w Polsce – proporcjonalnie – większą oglądalność niż w Niemczech. Telewidzowie mogli zobaczyć nie tylko, z jakich stereotypów został posklejany polski epizod filmu o piątce przyjaciół, ale także – przy wszystkich mieliznach miniseriale – część niemieckiego rozliczenia ze zbrodniczą przeszłością własnych rodziców i dziadków. W ocenach wielu polskich internautów film miał lepsze notowania niż u polskich recenzentów. Doceniano staranną inscenizację scen frontowych i dobre aktorstwo głównych postaci. Osławiony już akowski epizod w trzeciej części budził powszechny niesmak, ale mało kto uważa, że emisja filmu była błędem.

Polska emisja „Naszyc matek, naszych ojców” może być i jest wykorzystywana do rytualnych uniesień („Plują na Polskę” głosi na okładce tygodnik „Do Rzeczy”), ale powinna być przede wszystkim sygnałem do ożywienia polsko-niemieckich kontaktów telewizyjnych. W niedzielę ZDF pokazała film dokumentalny o polskim ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej, co prawda o 23.00, ale tuż po koncercie Anny Netrebko, może ktoś z teleentuzjastów „Podmoskiewskich wieczorów” pozostał przy ekranie, by obejrzeć także szczyptę prawdziwej historii AK. Nasi „niepokorni” wołają o ukaranie szefa TVP, ale tak naprawdę to zachowują się niczym autyści, którzy najlepiej się czują w fikcji swego zamkniętego świata. Zamieszkanego przez urojonych wewnętrznych wrogów.

Radom pierwszy

Ponadtrzymetrowy pomnik **Lecha i Marii Kaczyńskich** stanął w zeszłym tygodniu w Radomiu, a już niedługo kolejny zostanie odsłonięty w Siedlcach. Jarosław Kaczyński wyraził nadzieję, że takich pomników „powstanie jeszcze wiele, ale zawsze musi być pierwszy, ktoś musi mieć odwagę”. Na odsłonięcie, według szacunków Marka Suskiego (postać PiS i przewodniczącego komitetu budowy pomnika), przyszło 5 tys. osób. Wśród nich Antoni Macierewicz, który chętnie rozdawał autografy, i słynna Joanna spod krzyża (tego przy Pałacu Prezydenckim). Politycy PiS liczyli też na to, że w Radomiu pojawi się Marta Kaczyńska.

– *Niestety, miała już wcześniej zaplanowane spotkanie z młodzieżą, ale na pewno niedługo przyjedzie pod pomnik rodziców* – mówi Suski. – *W gronie fundatorów jest prezes PiS. Sporą kwotę dołożył też prezes Fundacji Stefczyka senator Grzegorz Bierecki.* Sam pomnik kosztował 120 tys. zł, ale Suski twierdzi, że nie zna ostatecznych kosztów, bo nie dotarły do niego jeszcze wszystkie faktury związane z uroczystościami. Do nich zaliczają się m.in. koncerty Jana Pietrzaka i Patrycji Markowskiej. Artystów przyszło posłuchać trzy razy więcej radomskiej publiki niż na samo odsłonięcie pomnika. Miasto bezpłatnie wypożyczyło scenę, udostępniło powierzchnię na zareklamowanie imprezy, ukwiciło teren wokół pomnika i, jak utrzymują radni PO, zamontowało nową kamerę skierowaną na pomnik.

Radom to największe miasto w Polsce pod rządami PiS. Mieszka tu 220 tys. ludzi, więcej niż w Opolu, Rzeszowie i Olsztynie. Bez pracy jest 23 proc. mieszkańców. To radomscy radni jako jedni z pierwszych przyjęli rok po katastrofie smoleńskiej



© MICHAŁ WALCZAK/PAP

uchwałę o nadaniu honorowego obywatelstwa Lechowi Kaczyńskiemu. Pomysł wystawienia pomnika Lechowi Kaczyńskiemu pojawił się też w Zambrowie, gdzie zawiązał się nawet specjalny komitet jego budowy. To stąd pochodził ojciec braci Kaczyńskich. Tu jednak głosy PO i PiS w radzie miasta podzieliły się w wyborach samorządowych po równo, burmistrz Zambrowa wywodzi się z PO, a bez politycznej większości trudno o pomnik. Bo nawet jeśli miasto nie dokłada się finansowo do jego powstania, to radni muszą przegłosować odpowiednią dla niego lokalizację. W Radomiu stanął w samym centrum, na skwerze między najstarszym liceum ogólnokształcącym a kościołem o. bernardynów. W Siedlcach radni PiS uznali, że najlepszym miejscem będzie skwer Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej, ale ostatecznie przystali na inną lokalizację. – *Nie chcę dokonywać oceny Lecha Kaczyńskiego jako prezydenta, ale dla społeczności radomskiej nie zrobił on nic* – mówi Zenon Krawczyk, radny SLD. Dodaje, że PiS zdaje sobie sprawę, że w innym tak dużym mieście

taki pomnik by nie stanął i nigdzie nie zapewniono by tak atrakcyjnego miejsca. Suski odpira te zarzuty, twierdząc, że przecież Lech Kaczyński odznaczył bohaterów radomskiego Czerwca 1976, co jest najlepszym dowodem na to, że Radom nie był mu objętny. Radomski radny PiS Sławomir Adamiec dodaje: – *Jestem pewien, że dzięki politycznym wyborom, jakich dokonują mieszkańcy Radomia od 2006 r. (wtedy pierwszy raz PiS wygrał tu wybory samorządowe – red.), ale również dzięki temu pomnikowi w całym kraju dokona się zmiana, o jakiej marzył Lech Kaczyński.*

Andrzej Krzysztof Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk Męczeństwa, który opiniuje wiele projektów w stołecznym zespole nazewnictwa miejskiego, zaleca wszystkim stawiającym pomniki zasadę: – *Zanim upamiętnimy w przestrzeni publicznej jakieś wydarzenie, to powinno minąć od niego co najmniej pięć lat. Dzięki temu jest duża szansa na uwolnienie się od gorących emocji czy politycznych kontekstów.* W Radomiu pięć lat po katastrofie smoleńskiej może się już zmieniła władza samorządowa. **(DAB.)**

Trzecia Rzesza – jak Hitler uwiódł Niemców?

W Polsce trzyczęściowy film „Nasze matki, nasi ojcowie” (patrz komentarz Adama Krzemińskiego obok) wywołał polemiki z powodu przedstawienia partyzantów z biało-czerwonymi opaskami jak Indian w klasycznym westernie: to tłuszcza żadna mordy (tu na Żydach), ledwie tło dla prawdziwych emocji targających głównymi bohaterami. Ale poważny zarzut, także w Niemczech, jest stawiany również wobec głównego wątku filmu. Nie jest jasne, w jaki sposób owe niemieckie matki i owi niemieccy ojcowie znaleźli się w tak dramatycznych dla siebie sytuacjach życiowych? Skąd ta wojna, ten front, ta zagłada żydowskich sąsiadów i przyjaciół, ta narastająca bieda, skąd ci słowiańscy partyzanci zasadzający się na niemieckich oficerów i czernonoarmiści gwałtujący Niemki? Wszystko to jest opowiedziane w najnowszym „**Pomocniku Historycznym**” POLITYKI, w którym mówimy o narodzinach Trzeciej Rzeszy (równy przed 80 laty) i jej upadku, zwracając uwagę, że:



- państwo nazistowskie powstało nie w wyniku rewolucji lub zamachu stanu, ale narodziło się z niemieckiej demokracji;
- było tworem tak Adolfa Hitlera i nazistów, jak i obywateli Rzeszy Niemieckiej, a jego fenomen rozegrał się w trójce: patologia wodza, patologia władzy, patologia narodu;
- powersalskie resentymy, gospodarcze sukcesy pod władzą Hitlera i jego imperialne obietnice zmieniły Niemców w tak wiernych poddanych fűhrera, że ślepych na zbrodnie najpierw wobec współobywateli (opozycja, chorzy, niepełnosprawni), a potem na zbrodnie wojny, okupacji i Zagłady;
- po wojnie wśród Niemców toczyły się rozmowy o ich winie i odpowiedzialności za te wszystkie zbrodnie.

W „Pomocniku” zastanawiamy się także, jaką formę ma obecnie niemiecka narodowa żałoba, do jakiej historii Niemcy mają prawo i czy mogą – i jak – manifestować swój patriotyzm? Zapraszamy do lektury!

(Gdzie kupić „Pomocnik Historyczny” – s. 59)

Winny kto inny

Prof. Janusz Czapiński o wynikach z władzy, o tym, że słabiej wierzymy

JACEK ŻAKOWSKI: – Pierwszy raz omawiamy kolejną **Diagnozę Społeczną w tak ponurym nastroju. Kryzys, rozczarowanie władzą...**

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI: – Coraz ostrzejsza bijatyka między politykami. Coraz poważniejsze zarzuty wobec rządzących. Coraz więcej głosów, żeby zmienić system.

Że może jednomandatowe okręgi uratują Polskę.

Że toniemy.

Co tonie?

Głównie demokracja. Pierwszy raz od 20 lat spadł odsetek osób przekonanych, że „demokracja ma przewagę nad wszystkimi innymi formami rządów”. W 2011 r. uważało tak 28 proc. respondentów. Teraz – 25,5 proc. Wśród elektoratów partyjnych już tylko wyborcy PO w większości uznają bezwzględna wyższość demokracji. W Ruchu Palikota sądzi tak 29 proc., w SLD 28 proc., w PiS – 25 proc., a w PSL i Solidarnej Polsce po 21 proc. Ale bardziej istotny jest wzrost grupy osób przekonanych, że demokracja jest złą formą rządów. Dwa lata temu było ich 3,6 proc., a teraz już 5,8 proc.

Jak to się partyjnie rozkłada?

Najwięcej, ponad 9 proc., zdeklarowanych antydemokratów jest wśród wyborców Solidarnej Polski i PJN. Powyżej 7 proc. jest ich w PiS, Ruchu Palikota i SLD. W PSL – 6 proc., w PO – 2,4.

Wiemy, kim oni są?

Najwięcej antydemokratów jest wśród osób po 45 roku życia i starszych. Wśród osób młodszych najsilniejsze są postawy antydemokratyczne w grupie 16–24. Ale najwięcej antydemokratów jest wśród rolników, osób słabiej wykształconych, biedniejszych, z mniejszych miejscowości.

Białystok, gdzie doszło do rasistowskich incydentów?

Gorzej jest w Częstochowie, Sosnowcu, Radomiu, Gorzowie. W Wałbrzychu zdeklarowanych demokratów jest mniej niż 7 proc., a antydemokratów ponad 18 proc.! Na tym tle Białystok (niespełna 5 proc. anty) może się wydawać ostoją liberalizmu. Ale nawet w Warszawie, Poznaniu i Krakowie zdeklarowanych zwolenników systemu demokratycznego jest zaledwie 44 proc. Jeszcze nie ma co wpadać w panikę, ale warto zdawać sobie sprawę, że polska demokracja porusza się po niezbyt grubym i stopniowo topniejącym lodzie.

To by znaczyło, że czegoś Polakom brakuje.

Rzecz w tym, że coraz mniej nam brakuje. 20 lat temu trzy czwarte Polaków deklarowało, że ich stałe dochody nie pozwalają na zaspokojenie bieżących potrzeb. Dziś mówi tak jedna czwarta. I wciąż ich ubywa. W 2007 r. mówiło tak 32 proc., dwa lata temu – 26 proc. Teraz 24 proc.

Mimo kryzysu?

Polacy prywatnie nie doświadczają kryzysu. Czterech na pięciu uznaje miniony rok za udany. To się od czterech lat praktycznie nie zmienia. Wciąż ubywa osób, których nie stać na zakup wystarczającej ilości różnych artykułów. Nawet na używki brakuje już tylko 15 procentom osób. 10 lat temu ta grupa była prawie trzy razy większa. I wciąż przybywa osób mających oszczędności.

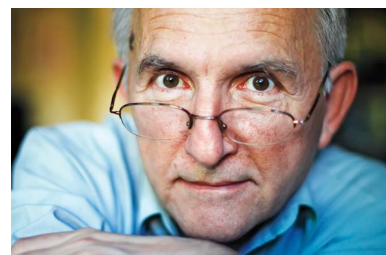
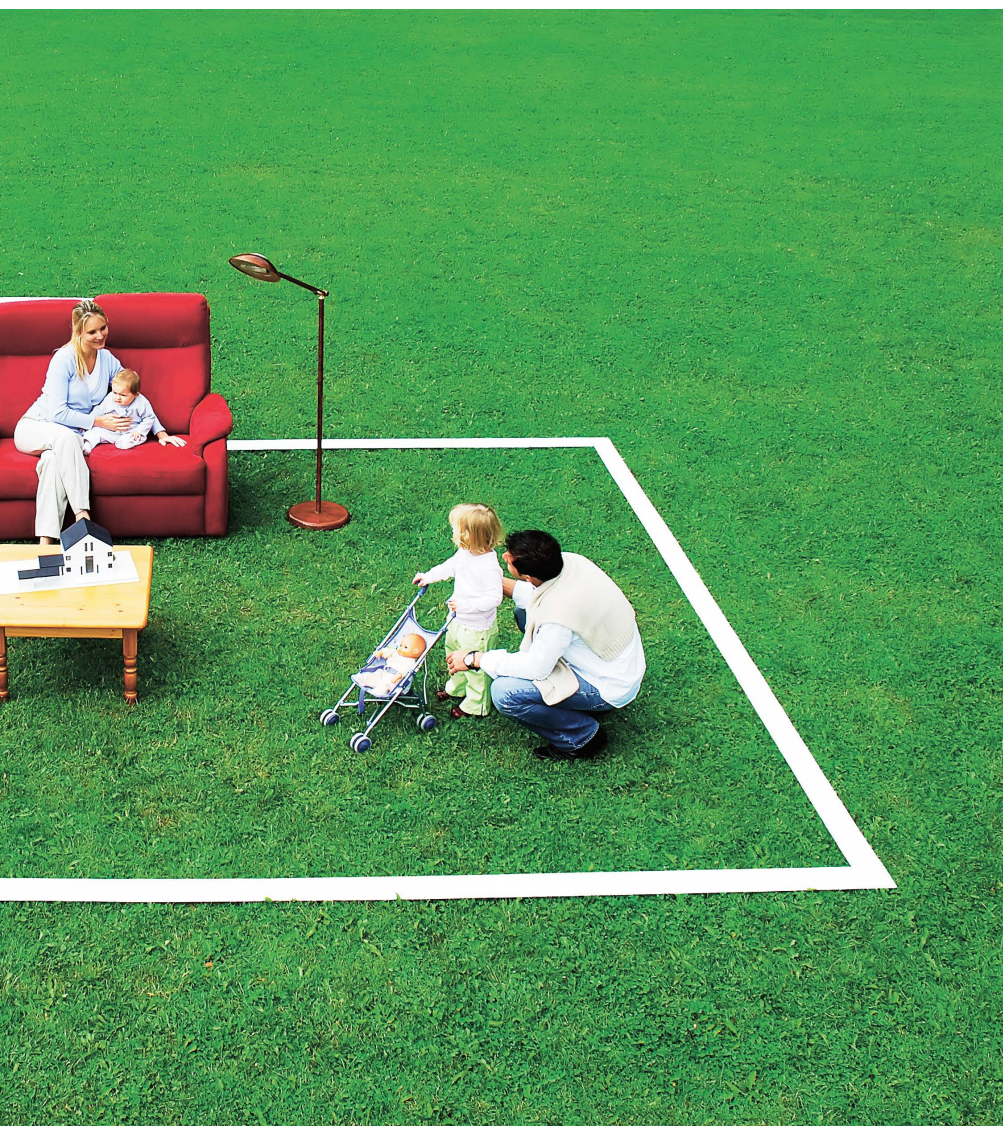
A zadłużonych?

Ubywa. Zwłaszcza zadłużonych poniżej trzymiesięcznych dochodów, czyli pożyczających na bieżące wydatki. Natomiast wciąż dość szybko rośnie grupa zadłużonych powyżej swoich rocznych dochodów. Takie długi ma już blisko 30 proc. zadłużonych gospodarstw.



- Dla najbogatszych **powodem rezygnacji z potomstwa nie jest niedostatek, ale aspiracje.** W tej grupie od półtora do trzech razy częściej niż w uboższych powodem bezdzietności jest to, że dzieci odbierają swobodę życiową, chęć robienia kariery zawodowej.

najnowszej Diagnozy Społecznej, o rosnącym zadowoleniu Polaków z siebie i niezadowoleniu w demokrację, o kulturowych przyczynach bezdżietności i innych grzechach naszego społeczeństwa



© LESZEKZYCH

Prof. Janusz Czapiński

– psycholog społeczny i wykładowca akademicki związany z Katedrą Psychologii Społecznej na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Członek Komitetu Psychologii PAN oraz prorektor ds. nauki Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie. Autor licznych publikacji, m.in. książki „Psychologia szczęścia. Przegląd badań i zarys teorii cebulowej”. Od wielu lat jest kierownikiem badań panelowych Diagnoza Społeczna.

Diagnoza Społeczna to trwające od 2000 r. badania analizujące warunki i jakość życia Polaków, z uwzględnieniem rozmaitych wskaźników społecznych, takich jak struktura demograficzno-społeczna gospodarstw domowych, dostęp do rynku pracy, świadczeń medycznych, kultury i wypoczynku, edukacja i nowoczesne technologie komunikacyjne, jakość i styl życia oraz cechy indywidualne obywateli. Projekt ma charakter publiczny – wyniki są dostępne nieodpłatnie.

Czyli jednak bieda nas jakoś dopada.

To jest raczej kwestia stylu życia. Zamożniejsi są bardziej zadłużeni; najbardziej wyborcy PO i Ruchu Palikota. Najmniej PSL i PiS. Zwolennicy PO będą spłacali kredyty, statystycznie, przez ponad pięć i pół roku. Wyborcy PSL mniej niż 3 lata.

Podział biegnie w poprzek koalicji?

Nie tylko ten podział. Kluczowe parametry – zaufanie, praktyki religijne, uprzedzenia, wiek, wiara, zamożność, poziom fatalizmu, stosunek do demokracji, wykształcenie, zadowolenie z życia – dzielą Polskę na dwie wielkie płyty tektoniczne. Na jednej są PO i SLD, a na drugiej PiS i PSL. Ale wszyscy są coraz bardziej zadowoleni z życia.

Z życia czy z sytuacji materialnej?

Z jednego i z drugiego. Dwa lata temu 62 proc. deklarowało niepewność i niestałość dochodów. Dziś – 58 proc. Wte-

dy 82 proc. martwiło się swoimi finansami, a dziś – 71 proc. W rodzinach też czujemy się coraz lepiej. Dzieci nieco rzadziej okazują lekceważenie rodzicom; o trzy punkty (do 41,7 proc.) zmalała grupa mężczyzn narzekających na nadmierne oczekiwania partnerek. Nawet grupa mężczyzn skarżących się na rozrzutność żon zmniejszyła się z 28,6 do 27,7 proc. Ale dla czytelników gazet i widzów stacji informacyjnych najbardziej zaskakujący jest wzrost zadowolenia z funkcjonowania urzędów. Dwa lata temu 51 proc. szukało znajomości lub innych sposobów, żeby coś załatwić. Teraz tylko 45 proc. Ponad połowa czuła się przy załatwianiu spraw bezsilna i upokorzona, teraz też 45 proc. Wyraźnie zmalały wydatki na łapówki w służbie zdrowia. A przy tym rośnie zadowolenie ze stanu własnego zdrowia. 10 lat temu 31 proc. narzekało na jakies przewlekłe dolegliwości. Dziś 24 proc. ▶



► **Może już nie wypada narzekać. Może nauczyliśmy się od Amerykanów, że na pytanie „jak się masz?” odpowiada się „dobrze”, bo ideałem jest bardziej sukces, a coraz mniej szlachetne cierpienie i u innych szukamy raczej podziwu niż współczucia.**

Raczej naprawdę czujemy się dużo lepiej.

Kraina dobrobytu?

Przynajmniej w tym sensie, że wszystko, co nas indywidualnie dotyczy, wyraźnie zmierza ku lepszemu. Ale kiedy ze sfery prywatnej wchodzimy do publicznej, obraz się gwałtownie zaciemnia. Zadowolenie z sytuacji w kraju od czterech lat spada. Podobnie jak ocena reform przeprowadzonych po 1989 r. Dwa lata temu krytykowało je 37 proc., a teraz już prawie 44 proc.

Wciąż maleje też grupa zasadniczo ufająca innym (w ciągu dwóch lat z 13,4 do 12,2 proc.). Niby jeden punkt procentowy to nie jest rewolucja, ale już wcześniej byliśmy katastrofalnie nieufni i niskie zaufanie stanowiło jedną z najpoważniejszych barier

po okresie szybkiego wzrostu płac mamy rezerwy albo wydatki, z których względnie łatwo zrezygnować.

Może ludzie nauczyli się efektywniej wydawać.

To jest niemal pewne. Płace realne od kilku lat stoją przecież w miejscu, bezrobocie wzrosło, a grupa rodzin, które deklarują, że ich stałe dochody nie wystarczają na bieżące potrzeby, zmalała (o 2 pkt proc.) do 24 proc. w 2013 r. To musi wynikać z tego, że coraz lepiej czujemy się w tym systemie, coraz sprawniej się po nim poruszamy, umiemy coraz efektywniej kupować. Na przykład grupa gospodarstw domowych mająca dostęp do Internetu w ciągu tych dwóch lat wzrosła z 61 do 67 proc. Dzięki temu ludzie częściej korzystają z porównywarek cenowych i coraz taniej kupują. Wydają tyle samo, a wystarcza im na więcej. Albo zamiast w delikatesach częściej robią zakupy w dyskontach i na bazarkach.

To pokazuje, jak ułomna jest statystyka, która konsumpcję mierzy wyłącznie pieniędzmi.



© LUKASZ GIZIA/AG

Najwięcej antydemokratów jest wśród rolników, osób słabiej wykształconych, biedniejszych, z mniejszych miejscowości.

Najgorzej jest w Wałbrzychu:

zwolenników demokracji jest mniej niż 7 proc.

rozwojowych. Temu też trudno się dziwić, obserwując choćby niezrozumiałą dla większości dyskusję o OFE, w której wizję emerytury pod palmami zastąpiły wizje emeryckiej biedy, a media, eksperci i politycy podają kompletnie sprzeczne dane. Skutki są niezwykle poważne i wykraczają daleko poza system emerytalny. Podobnie ludzie odbierają reformę refundacyjną. Bo miała sprawić, że leki będą tańsze, a okazały się znacznie droższe dla pacjentów. W ciągu dwóch lat prywatne wydatki na lekarstwa wzrosły o prawie 30 proc., a na usługi ambulatoryjne o prawie 10 proc. W sumie nakłady z rodzinnych budżetów na służbę zdrowia zwiększyły się o blisko 20 proc. (dziś to już 8 proc. budżetów domowych), podczas gdy wydatki NFZ wzrosły o 10 proc. Dwa lata temu prywatne pieniądze mniej więcej w jednej trzeciej finansowały polską służbę zdrowia. Teraz jest to znacznie więcej.

Czyli minister Artukowicz nas oszukał.

Mówił, że będzie taniej, a zrobiło się drożej.

Ale nie słychać protestów.

Ludzie to jakoś zamortyzowali. A nawet o jeden punkt procentowy zmalała grupa osób, które z braku pieniędzy rezygnują ze świadczeń. Dwa lata temu z lekarstw rezygnowało 18 proc. (a teraz – 17 proc.), z leczenia zębów rezygnowało 17 proc. (a teraz 16 proc.), z badań rezygnowało 8 proc., a rezygnuje 7 proc., z sanatorium rezygnowało 6 proc., teraz 5 proc. Widocznie

To przede wszystkim pokazuje, że każdą statystykę trzeba czytać głębiej.

Skoro ludzie tak dobrze dostosowali się do nowego systemu i czują się w nim pewnie, to dlaczego wciąż nie chcą mieć dzieci?

Zapytaliśmy o to. Odpowiedź pozornie potwierdza nasze intuicje. Z liczącej 2 mln osób „rezerwy prokreacyjnej” – czyli grupy, która chciałaby mieć dzieci, ale ich nie ma – blisko połowa jako powód wskazała trudne warunki bytowe, jedna trzecia niepewną przyszłość, jedna czwarta koszty wychowania, po jednej piątej złe warunki mieszkaniowe, bezpłodność i brak partnerki lub partnera. Wniosek z tego, że odpowiedzią na kryzys demograficzny powinna być hojniejsza polityka społeczna, zwiększenie bezpieczeństwa pracy, nacisk na wyższe płace i wsparcie programu mieszkaniowego.

A nie jest?

To właśnie nie jest takie proste. Bo kiedy zajrzy się głębiej w uzyskane dane, to banalne, intuicyjne prawdy dość szybko znikają. Na przykład kiedy osobno analizuje się odpowiedzi w tak zwanych kwartylach dochodowych, czyli czterech grupach – od najbiedniejszej do najzamożniejszej ćwiartki, okazuje się, że trudne warunki bytowe jako jedną z trzech głównych przyczyn bezdzietności najczęściej wskazują, co jest oczywi-

ste, najbiedniejsi, ale także jedna trzecia najbogatszych, co już może dziwić. A złe warunki mieszkaniowe najrzadziej wskazują najbiedniejsi i najbogatsi.

To już jest dokładnie przeciwne intuicji.

Pozornie. Bo najbiedniejsi to w dużej części mieszkańcy wsi, gdzie ludzie mają stosunkowo obszerne domy. A bogatsi to zwykle mieszkańcy miast, gdzie mieszkania są drogie. Zwykle są to ludzie z dosyć dużymi aspiracjami. Warunki mieszkaniowe to dla nich przeszkoda, jeżeli nie mogą dziecku zapewnić osobnego pokoju. We dwoje mieszkają w dwupokojowym mieszkaniu. Żeby się przenieść do trzypokojowego, musieliby dołożyć przynajmniej 100 tys. zł albo obniżyć standard, na przykład wynosząc się z prestiżowej dzielnicy albo zamieniając apartamentowiec na blok. A dla nich to by była deklasacja.

Czyli przyczyna jest bardziej kulturowa niż czysto ekonomiczna.

Zdecydowanie. Dla najbogatszych, których w rezerwie prokreacyjnej jest dwukrotnie więcej niż najuboższych, powodem rezygnacji nie jest niedostatek, ale aspiracje. W tej grupie od półtora do trzech razy częściej niż w uboższych powodem bezdzietności jest to, że dzieci odbierają swobodę życiową, utrudniają robienie kariery zawodowej, znacznie częściej też mówi się o niechętniej dzieciom postawie partnerki lub partnera i bezpłodności.

Bezpłodność jest zjawiskiem masowym?

W czwartym kwartylu dotyka 25 proc. To radykalnie wyróżnia tę grupę. W pierwszym (najbiedniejszym) kwartylu rezerwy prokreacyjnej bezpłodność deklaruje 13,2 proc., w drugim – 16 proc., w trzecim 19,6 proc.

To by potwierdziło tezę, że epidemia bezpłodności jest wynikiem stresu cywilizacyjnego. Bo te 25 proc. najzamożniejszych to ludzie, którzy w większości biorą udział w wielkim wysiłku szczurów, pną się po drabinach kariery, walczą o pozycję.

Można powiedzieć, że są głodni życia. Chcą być bardziej i więcej. Że dzieci by im odebrały swobodę życiową, mówi ponad 10 proc. tej grupy. A w pozostałych kwartylach 2,5–3,5 proc. Podobnie działa chęć robienia kariery i przekonanie, że dzieci to zbyt duża odpowiedzialność. Tu widać zasadniczą różnicę kulturową. Granica biegnie między czwartym kwartylem zamożności a trzema pozostałymi.

Czyli dla tej najzamożniejszej grupy zasiłki ani tańsze przedszkola raczej nie mają specjalnego znaczenia.

Mają. Najbogatsi równie często co biedniejsi narzekają na zbyt niskie zasiłki, za krótkie urlopy macierzyńskie i wychowawcze, niepewną przyszłość, problemy ze żłobkami i przedszkolami. A ryzyko chorób genetycznych jest dla nich bardziej zniechęcające niż dla mniej zamożnych. Mają dobre życie, doszli do tego przeważnie dużym nakładem pracy i są bardzo wrażliwi na wszystko, co potencjalnie może pogorszyć ich sytuację. W wielu sprawach ich strach ma większe oczy.

Czyli in vitro też nie sprawi, że będą mieli dzieci?

W ich przypadku refinansowanie in vitro jest pewnie mniej istotne, bo wielu z nich stać, żeby je prywatnie opłacić. Ale w całej dwumilionowej rezerwie prokreacyjnej bezpłodność deklaruje blisko 20 proc. potencjalnych matek. To połowa liczby dzieci rodzących się w ciągu roku. Gdyby inne powody bezdzietności zostały usunięte, w ciągu kilku lat potrzebowałibyśmy tyłu skutecznych procedur in vitro.

Te „inne” przyczyny bezdzietności to, jak rozumiem, głównie ciężary związane z wychowaniem dzieci. Można by je radykalnie zmniejszyć, wprowadzając funkcjonującą w bardzo wielu krajach całodzienną bezpłatną szkołę z wyżywieniem, gdzie dzieci odrabiają lekcje, skąd odbiera się je po pracy, aby rodzina była już tylko przyjemnością.

Bo dzieci wracają bez tornistrów i zamiast skazywać je na siedzenie nad zeszytami albo krążenie po mieście z jednych zajęć dodatkowych na drugie, można z nimi porozmawiać jak z ludź-

mi, iść do kina albo na basen. A gdyby szkoła oferowała jeszcze opiekę dentyścyczną i pediatryczną, ciężar posiadania dzieci przestałby działać tak zniechęcająco. To by miało szczególne znaczenie dla zamożniejszej części rezerwy demograficznej, która obawia się nie tyle ciężarów materialnych, co zwłaszcza ograniczenia swobody życiowej, utrudnienia kariery, trudności w pracy. W ten sposób można by za jednym zamachem upiec dwie pieczenie. Gdyby uczniowie byli w szkole o kilka godzin dłużej, nowe pokolenie mogłoby być nie tylko liczniejsze, ale też wyższej jakości fizycznej, społecznej i intelektualnej. Poza gonieniem minimum programowego nauczyciele mieliby czas na rozmowy z dziećmi, budzenie ciekawości, stymulowanie samodzielnego myślenia, rozwijanie indywidualnych zainteresowań, budowanie kompetencji społecznych, takich jak zaufanie, empatia, umiejętność grupowego działania (o kłopotach polskiej edukacji piszemy też na s. 28). Gdyby szkoła działała inaczej, mniej by też było wśród młodych postaw antydemokratycznych, które są rosnącym wyzwaniem. A gdyby państwo zdjęło z rodziców istotną część ciężarów związanych z rodzicielstwem, gdyby dzięki temu młodzi ludzie mieli z posiadania dzieci więcej przyjemności, a mniej obowiązków, dużo więcej osób radzących sobie w życiu i dobrze realizujących się w pracy zdecydowałoby się na powiększenie rodziny.

Mimo braku dodatkowego pokoju?

Ten pokój to w dużej mierze wymówka. Dla wielu rodzin nie byłby to problem, gdyby inne obawy i ciężary znikły.

To jest tak proste, że trudno zrozumieć, dlaczego taki postulat nie pojawił się w publicznej debacie o szkole i kryzysie demograficznym.

Bo to jest postulat skierowany do państwa, a Polacy nie wierzą, że władza może im pomóc. Zdecydowana większość wierzy tylko w swoje możliwości i liczy tylko na siebie. Niewiara w państwo stopniowo się pogłębia. Jeszcze w 2000 r. prawie 12 proc. osób oceniających, że miniony rok był dla nich udany, przypisywało to działaniu władz. Teraz sądzi tak zaledwie 3 proc. A ponad 80 proc. uważa, że to ich własna zasługa. Jedna trzecia uznaje też wpływ losu, a jedna czwarta dostrzega zasługę innych osób. Natomiast wśród 20 proc. Polaków oceniających miniony rok jako nieudany proporcje są odwrotne. Mniej niż jedna trzecia przypisuje porażkę sobie. Ponad połowa sądzi, że jest ona dziełem losu, jedna trzecia, że to wina innych, a jedna czwarta obwinia za nią władze. Ale nawet w świadomości tej grupy rola władz się marginalizuje. W 2000 r. odpowiedzialnością za swoje porażki władzę obciążało dwa razy więcej Polaków. W 2011 r. ta grupa spadła do 22 proc., teraz wzrosła do 26 proc., ale wciąż jest to zdecydowana mniejszość.

Czyli zasługi są coraz bardziej nasze, a winy coraz bardziej cudze.

Ale jest też iskierka nadziei. Bo odrobinę rośnie przekonanie, że nasze porażki i sukcesy zależą też od innych. Nie od władz i nie od losu, ale od różnych ludzi. To znaczy, że Polacy nieco lepiej rozumieją, jak ważne jest społeczeństwo.

To by tłumaczyło spadek popularności PO, rządu i premiera, mimo że Polska przechodzi ten kryzys łagodnie jak na Europę, a Polacy są w zdecydowanej większości zadowoleni z życia.

Bo władza może mieć winy, ale nie może mieć zasług. Co dobre to ja. Co złe to los, inni i rząd.

Dość paskudny ten polski charakterek.

I może być groźny. Zwłaszcza w czasie kryzysu. Bo jeśli winy są przede wszystkim cudze, to ci, którym się gorzej powodzi, zamiast szukać wyjścia z sytuacji, będą szukali winnych pośród innych. Im bardziej prywatyzujemy zasługi i uspołeczniamy winy, tym większa jest niechęć do obcych i władzy, nieufność wobec demokracji, skłonność do ksenofobii. Jeśli ja jestem niewinny, to podobni do mnie także. Im ktoś bardziej się różni ode mnie, tym bardziej jest winny mojemu niepowodzeniu.

I tu Białystok się kłania.

A jeszcze głębiej Wałbrzych.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI



© WOJCIECH PACIEWICZ/PAP

Kontuzjowani prezydent Komorowski i premier Tusk. Symbol jakis?

Sobotnia konwencja Platformy Obywatelskiej zdecyduje o sposobie wyboru przewodniczącego w powszechnym głosowaniu wszystkich członków partii. Donald Tusk chce potwierdzić wyraźnie i jednoznacznie swoje przywództwo, uspokoić nastroje, ewentualnie sprawdzić moc konkurentów, czyli zażegnać kryzys. Na razie ten wewnętrzny, partyjny. To warunek konieczny, by pójść dalej.

Na razie jego partia jest ociężała, ospała, bez pomysłów, rozbita już nawet nie na frakcje, ale na niewielkie grupki zdeorientowanych działaczy i coraz bardziej przerażonych posłów, którym każdy sondaż przynosi wyłącznie złe wiadomości. W tym tę podstawową: w przyszłym Sejmie mandatów będzie mniej. Część powtarza jeszcze – „w końcu Tusk coś wymyśli”, tak jak wymyślił

Co wymyśli Tusk?

To, że główna partia rządząca jest w najgłębszym kryzysie od chwili powstania, widać gołym okiem. Teraz, znowu, wszystko zależy od Tuska.

JANINA PARADOWSKA

w poprzednich wyborach, kiedy wsiadł w tuskobus i udał się w objazd kraju, co dało ostatecznie zwycięstwo. Teraz jednak tak łatwo nie będzie. Nawet nie dlatego, że dramatycznie zmieniła się sytuacja gospodarcza, że Polska wpadła w głęboki, bliski recesji kryzys.

Gospodarka jeszcze jakoś się broni, choć maleje wiara w nieomyślność ministra finansów, choć widać, jak grzęzną w urzędniczej niemocy kolejne zapowiedziane rządowe projekty, jak coraz trudniej wypracować jakikolwiek kompromis w Sejmie. Rzecz w tym, że na niekorzyść Platformy działa dziś każda, najdrobniejsza sprawa (ostatnio np. opłaty parkingowe w weekendy, ubój rytualny, ogródki działkowe czy zakupy cygar). Każda zaczyna uwierać jakieś środowisko, opinię publiczną, media.

Diagnozy dzisiejszego kryzysu obracają się na ogół wokół kwestii dość oczywistych: zmęczenie ekipą, która rządzi od tylu lat, rosnące poczucie zagrożenia ekonomicznego, zwłaszcza bezrobociem, ogólna niechęć do polityki i przekonanie, że rządzący kierują się własnym egoizmem, a nie interesem społecznym. Jeśli ktoś ma władzę tak długo, to egoizm przeradza się w arogancję czy nonszalancję, które też coraz częściej widać.

Poligon Elbląg jest tu dobrym przykładem. O tym, jak poczynają sobie władze miasta z prezydentem z PO na czele, wiadziano od ponad roku z góry. Informacje o pierwszej inwestycji prezydenta, czyli zmianie wystroju własnego gabinetu, o drogich wyjazdach zagranicznych, promowaniu na stanowiska kolegów, docierały do zarządu partii. Zlekceważono je zupełnie, zapewne w przekonaniu, że i tak ewentualni pomysłodawcy referendum nie zbiorą podpisów, a nawet jak zbiorą, to nie odwołają, bo frekwencji nie będzie. Odwołali, ku prawdziwemu zaskoczeniu władz Platformy. Po elbląskim doświadczeniu wiadomo było, że referenda, i to udane, mogą się

posypać w całej Polsce i że na pierwszy ogień pójdzie Warszawa. I znów zapanowało myślenie, że nie zbiorą podpisów. Zbiorą i referendum będzie. Będziemy bronić Hanny Gronkiewicz-Waltz – mówią ważni politycy PO. Ale jednocześnie do mediów płyną informacje, że Małgorzata Kidawa-Błońska szykowana jest na komisarza i przyszłą kandydatkę na prezydenta, a to przekaz, że sama Platforma skreśla już dotychczasową panią prezydent.

Tusk od dawna powtarzał, że jeśli ktoś pokona Platformę, to w pierwszym rządzie ona sama. I tak się właśnie w dużej mierze dzieje. Dziś PO jest partią wewnętrznie rozedrganą, niepewną swoich racji, a może nawet niewiedzącą, jakie racje reprezentuje. Proeuropejskość, modernizacja, otwartość – to są słowa klucze, najczęściej używane, ale one przestają wystarczać, bo zmieniło się otoczenie. Dziś najpoważniejsze ciosy Platformie zadaje nie opozycja, ale wyborcy, którzy w przeszłości na tę partię oddawali głosy, a teraz wycofują poparcie, ciągle jednak jeszcze czekając. To oni chcą wiedzieć, co ta europejskość i modernizacja konkretnie niosą. Gdzie jest ta otwartość, skoro nawet w samej PO zdarzają się przypadki oddawania legitymacji, bo to „partia stołków”, a nie dialogu, jak napisał jeden z cieszyńskich radnych.

W tym kręgu zniechęconych wyborców są ważne elity opiniotwórcze, które same, przez niewielką liczebność, nie decydują o wyniku wyborów, ale mają wystarczająco silny głos, aby kłopoty Platformy pogłębiać. Dla tych elit nie jest już najważniejsza kwestia wywalczenia kolejnych wielkich pieniędzy w unijskim budżecie, co było niewątpliwym sukcesem premiera, ale zmiany obyczajowe, których symbolem stała się na przykład ustawa o związkach partnerskich, sprawa przemocy wobec kobiet czy kontrowersyjna w ostatnich dniach kwestia uboju rytualnego. Prawda, w żadnym dokumencie programowym Platformy

nie ma dosłownie zapisanej zapowiedzi uchwalenia ustawy o związkach partnerskich. Dla części wyborców jednak sama deklarowana proeuropejskość stała się obietnicą i mają prawo czuć się zawiedzeni.

Polskie społeczeństwo jest w większości, czego dowodzą badania, zachowawcze, tradycyjne, swoje. Donald Tusk, kierując partią, która walczy o przynajmniej jedną trzecią głosów, musi więc lawirować i kluczyć (czasem, jak choćby w kwestii związków partnerskich, zręczności w manewrach zdecydowanie mu zabrakło). Ważyć racje i szukać punktów równowagi między tymi, którzy chcieliby bardziej liberalnie, a tymi, którzy wywieszają na sztandarach hasła konserwatywne, tak by forsując różne rozwiązania, nie zatopić ich ostatecznie. Być rzeczywiście trochę konserwatystą, trochę socjaldemokratą, a trochę liberałem.

To jest przypadek refundacji metody in vitro. Nie ma w Sejmie większości dla uchwalenia ustawy, a więc niech będzie przynajmniej procedura medyczna i zagwarantowane pieniądze na jej finansowanie. Kompromisy nigdy w Polsce nie cieszyły się uznaniem. Jednak, kierując taką partią, właściwie nieustannie trzeba iść na jakieś kompromisy, co powoduje zarzuty o bezideowość, nadmierny pragmatyzm, skupienie się na technice rządzenia, a nie na wielkich zmianach czy cywilizacyjnych wyzwaniach.

Co ma być receptą na wyjście z kryzysu? Są dwie, dla rządu i dla partii. Dla rządu – gruntowna rekonstrukcja gabinetu, dla partii natomiast warunkiem odnowy ma być „powrót do korzeni”. Rzecz jednak w tym, że tych korzeni szuka się w zupełnie różnych miejscach. Jarosław Gowin, który dziś niewątpliwie najbardziej szkodzi Platformie, prowadząc coś, co nazywa kampanią programową (a co w istocie jest ostrą krytyką rządu, w którym jeszcze niedawno brał udział), widzi je w konserwatyzmie. Dziś reklamuje swoje „dobre zmiany”, sprawiając wrażenie, że gdyby nie on, rząd nie zrobiłby praktycznie nic. Kiedy jednak przyjrzeć się owym dobrym zmianom, widać, że była to wąta kontynuacja prac poprzedników albo zmiany, które owocowały głównie konfliktami.

Dziś Gowin sojuszników ma nie tyle w samej Platformie (poza Johnem Godsonem i Jackiem Żalkiem), ile poza nią. Daje znać o sobie krąg polityków czy mniejszych ugrupowań, którzy wypadli z PiS i do dziś nie mogą znaleźć sobie miejsca. Tymczasem kolejne wybory europejskie i krajowe się zbliżają, wizja wrażliwej eliminacji z polityki staje się coraz bardziej dotkliwa. Czy liczą na Gowina? Trochę tak, zwłaszcza gdyby został

z Platformy wyrzucony albo sam demonstracyjnie odszedł w sprzyjającym momencie. Takim momentem nie byłaby jednak dotkliwa przegrana w wyścigu o stanowisko przewodniczącego PO. Wartość Gowina zmalełaby, bo przestałby być nadzieją na rozłam w PO. Dlatego jego kandydowanie lub nie to nie tylko wewnętrzna sprawa Platformy. Na prawicy panuje przekonanie, że bez rebelii w Platformie w polskiej polityce nic się nie ruszy.

Po sobotniej konwencji kandydaci będą mieli tydzień na zgłoszenie się do konkursu i wówczas się wyjaśni, czy owa „programowa ofensywa” Gowina była tylko walką o odebranie jakiejś części głosów Tuszkowi, czy też on sam zamierza wstąpić w wyborcze szranki.

Drugi potencjalny kandydat Grzegorz Schetyna też chce powrotu do korzeni, w których niewątpliwie więcej jest liberalizmu, ale najwięcej kolegialnego rządzenia. Schetyna nie wykorzystwał swojej funkcji pierwszego wiceprzewodniczącego Platformy, aby uspokajać nastroje w PO czy koordynować jej prace. Na długie okresy stawał się nieobecny, tak jakby nie chciał podjąć żadnej decyzji mogącej narazić go na niezadowolenie Tuska, co utrudniłoby powołanie go ponownie do rządu. W oczach opinii publicznej był lojalny, ale jak było wewnątrz partii? Z pewnością nie był autorem tylu intryg, ile mu się dziś przypisuje, ale nie można mieć wątpliwości, że budował sobie zaplecze, bo Schetyna jest człowiekiem partii i jej aparatu.

Po latach rządzenia nie da się jednak wrócić do tej samej rzeki, a to w istocie znaczy oferta Schetyny – nie wystartuje przeciwko tobie, ale ułożymy się, ja będę sekretarzem generalnym i będę trzymał silną ręką partię, a ty bądź premierem. W przekładzie na realia oznacza to – usiądźmy razem przy tym okrągłym stole w twoim gabinecie i rozgrywajmy wspólnie dalsze partie. Tusk na taki układ nie pójdzie, bo nie może stracić kontroli nad ugrupowaniem, jeśli chce skutecznie rządzić.

Władza pozbawia złudzeń, ogranicza krąg ludzi, do których ma się zaufanie. Taka jej uroda. Wedle powszechnych przed konwencją spekulacji, Schetyna robi wszystko, aby nie wystartować przeciwko Tuszkowi. Praktycznie, poza nielicznymi wywiadami, które trudno uznać za otwartą kampanię, oraz spotkaniami w gronie najbliższych współpracowników, jest nieobecny. Z jego punktu widzenia najlepiej zresztą, gdyby Tusk nie miał żadnego kontrkandydata. Wtedy wybory stają się plebiscytem i można walczyć o to, by jak najmniej członków zagłosowało na faworyta, bo im gorszy wy-



© MARGIN SZMULCZYŃSKI/EAST NEWS

nik, tym silniejsze zakwestionowanie przywództwa.

Niezależnie od przebiegu konwencji Platforma jest i pozostanie partią Tuska, tak jak PiS jest partią Kaczyńskiego, SLD – Millera, Ruch Palikota – Palikota, a PSL Pawlaka, choć czasowo kieruje nią Janusz Piechociński.

Konwencja Platformy nie przyniesie żadnego przełomu, bo nie może go przynieść zgromadzenie, którego istotą są wewnętrzne rozgrywki. Sprawi jednak, że Platforma nie odda całego pola Prawu i Sprawiedliwości, które tego samego dnia obraduje na Śląsku. Konwencja uruchomi procedurę wyborczą, która, o ile wszystko przebiegnie zgodnie z planami premiera, zakończy się w połowie sierpnia. I dopiero wtedy dla przewodniczącego Platformy Donalda Tuska i dla rządu nadejdą godziny próby, początek długiej kampanii, w sytuacji kiedy przeszkoży wyrastają jedna za drugą. Tusk ma opinię wojownika, ale nie wiadomo, ilu jeszcze wojowników jest w jego armii. ■